

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.
1/2 " — 40 "
1/4 " — 20 "
1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Nowy wartownik.

Od pewnego czasu przesilenia gabinetowe w Polsce nabrały charakteru niespodzianek, przygotowywanych na gwiazdkę lub imieniny dla grzecznych dzieci przez nieobliczalnych w swych kapryśkach i fantazjach rodziców. Z tą tylko różnicą, że dzieci wiedzą przynajmniej, kiedy mogą oczekiwać prezentu, dla obywateli zaś Najjaśniejszej Rzeczypospolitej stanowią niespodziankę nawet terminy przesileni rządowych.

Z początku ogół niezmiernie się interesował częstymi zmianami personalnymi w rządzie, upatrując w nich zapowiedź zmian w programie i metodach rządzenia. Gdy się przekonano wszakże, że są to tylko zmiany warty — zgodnie z określeniem, wysuwanem nie bez pewnej chętności przez obóz prorządowy — przestano przywiązywać do nich jakąkolwiek wagę. Jedyna rzecz, która na krótko jeszcze budzi jakieś zajęcie, niepozbawione odcienia humoru, to stopień nieprawdopodobieństwa, osiągnięty w nowych mianowaniach.

Słuszną czyni uwagę któryś z publicystów opozycyjnych, że jest stratą czasu zastanawianie się nad tem, czy lepszy jest p. Switalski, czy p. Sławek, czy p. Prystor? Któżby pograżał się w dociekania, który z nich, na podstawie poprzednich swych prac, lepiej jest przygotowany do gospodarczego i politycznego rządzenia państwem?

A jednak nominacja p. Jana Piłsudskiego na ministra skarbu potrafiła przełamać zubożenie ogółu i wywołała prawdziwą konsternację.

Korespondent warszawski „Nowego Dziennika” poświęca osobie nowego ministra i okolicznościom, towarzyszącym jego nominacji, następujące, zaprawione lekkim sarkazmem, uwagi.

„Było to niespodzianką dla wszystkich, dla

wszystkich bez wyjątku. Wprawdzie w godzinach rannych, gdy ważyły się losy nowego gabinetu ministrów, ludzie obozu rządowego oświadczyli, że gdy dowiemy się, kto zostanie ministrem skarbu, będziemy zdumieni, a jednak i oni wiedzieli tylko, że czeka ich zdumienie. Nazwisko przyszłego ministra skarbu było dla wszystkich tajemnicą...

W kilka godzin później prasa sanacyjna i ludzie rządowi szukali komentarza, klucza zagadki, głębszej przyczyny nominacji. Ten, który decyduje, nie wypowiedział się publicznie. Nie było wywiadu, jak w dzień desygnowania na stanowisko premiera byłego marszałka senatu Szymańskiego. Trzeba było samemu zgadywać, wyjaśniać, tłumaczyć.

Było komentarzy wiele. Przecież już od wielu lat starzy fachowcy zbankrutowali przy rządzeniu nową maszyną. Na firmamencie ukazali się nowi ludzie. Komisarz skarbu sowieckiego Sokolnikow miał jedyną kwalifikację przed wojną, że umiał za czasów emigracji pożyczać u znajomych pieniądze, Trocki na emigracji conajwyżej łapał muchy i to było jego najwyższe dzieło strategiczne, a został komisarzem spraw wojskowych. Mussolini brał 8 tek ministerjalnych, Grandi początkował w sztuce dyplomatycznej już po przewrocie faszystowskim. Jest tyle argumentów. Istnieje jednak argument najważniejszy. Taką była wola marszałka Piłsudskiego.

Arcyspokojny Jan Piłsudski pewnie się temu nie dziwił. W swoim czasie z całym spokojem przyjął misję tworzenia rządu. Czynił to poważnie, w skupieniu, tak jak gdyby nazajutrz miał istotnie powstać nowy rząd. Oddawał się pracy z całą powagą, przyjmował przedstawicieli stronnictw, udzielał wywiadów dziennikarzom, siedząc w klubie BB, cędził ze spokojem i „wileńskim akcentem” poszczególne zdania o stanie rokowań w sprawie powołania nowego rządu i budził radość „wśród swoich”, wśród tej garści Wileńczyków, zespolonych marze-

niami, tęsknotami i rozmowami ponad kluby partyjne i „bezpartyjne”.

Cieszyła się grupa wileńska, pokładał nadzieje senator Szabad, conieco uśmiechał się radośnie Białorusin Jaremicz, i kto wie, czy narodowo-demokratyczny poseł Zwierzyński gniewałby się tak mocno na Jana Piłsudskiego, jak zwykł ostro atakować rządu sanacyjnego.

Swój człowiek. Należał do cichych ludzi w Wilnie, co to w ciężkich czasach reakcyjnych zbierali się w salonach i marzyli liberalnie, co nie wspinali się być może na wyżyny sławy, lecz spokojnie zastanawiali się nad sprawami bliskimi i ważnymi.

Nad Wilją i Wilejką, gdzie ruch panuje powolny, gdzie autobusy stanowią dziwną odmianę cichego miasta, gdzie płynie mowa śpiewna, w kraju mało uprzemysłowionym, siedział, pracował, urzędował przez długie lata minister Jan Piłsudski. Nie wysuwał się, nie pchał się naprzód, nie zabiegał o zaszczyty. Przyjął ze spokojem stanowisko sędziego i dziwnie harmonizował z nim ten urząd. Był spokojny, marzył o abstrakcyjnej sprawiedliwości, spędzając wolne chwile u siebie w domu na Portowej.

Gdy nadszedł czas wyborów sejmowych, duży był kłopot z sędzią Janem Piłsudskim przy układaniu listy kandydatów: miał swoją linię układania listy kandydatów, według „uczciwości, nieskazitelności”.

W trzecim sejmie nie wysuwał się naprzód w dalszym ciągu. Był tym cichym, przysłowiowym sędzią Soplicą, tak mało podobnym do brata swego z wyglądu, z cichych i spokojnych kroków, z twarzy zadumanej, o dużych okularach na oczach.

Gdy klub BB. wypowiedział bezwzględna walkę opozycji, gdy urywały się stosunki towarzyskie między posłami z klubu bezpartyjnego i posłami z opo-

zycji, poseł Jan Piłsudski nie został wciągnięty w wir walki, widocznie tęsknił do pocziwych rozmów wileńskich, bo ciągle wybierał z opozycji starego towarzysza i kolegę, posła Malinowskiego z „Wyzwolenia”. Dziwne to było widowisko, gdy w godzinę przed walną bitwą spacerowali chodząc pod rękę, poseł Jan Piłsudski i ubrany w czarną przywódca „Wyzwolenia”, poseł Malinowski. Pewnie mówili o dawnych latach, o ruchu ludowym, o akcji spółdzielczej i długo jeszcze bronił swego „Jasia” w kularach przyjaciela jego, również jak on pocziwy, poseł Malinowski.

Odtąd czasy zmieniły się. Doszło do walk ostrzejszych. Zabrał głos w historycznej chwili, w noc brzeską, poseł Jan Piłsudski, lecz spełniwszy nałożony obowiązek, usunął się znowu na bok, choć obdarzony tytułem wicemarszałka. Nie odznaczał się szczególnie, nie zabierał głosu w różnych sprawach. Poświęcił się sprawom konstytucyjnym, wdziawszy na oczy duże okulary.

Gdy zdawało się, że zakończy ulubione dzieło i ułoży nowy projekt konstytucji, wzięwszy pod uwagę odpowiedzi poszczególnych profesorów, padł nagle rozkaz brata objęcia stanowiska ministra skarbu. Fachowość? Dwóch wiceministrów dopomoże mu w pracy, był zresztą niegdyś radcą prawnym w banku. (?) Znajomość rzeczy? W ten sposób, jak przychodził do brata radzić się w sprawach konstytucyjnych, przyjdzie do niego pytać się po bratersku o sprawy finansowe. Ministrem skarbu jest bowiem Jan Piłsudski, a skarbcem ministra Jana Piłsudskiego — marszałek Józef Piłsudski”.

Czy istotnie wилnianie cieszyli się, jak zapewnia p. B. Singer, z perspektywy objęcia rządów przez p. Jana Piłsudskiego? Zdaje się, że nawet w naiwnym, prostodusznym Wilnie nie brał nikt na serjo ówczes-

PETRAS Cwirka.

Chłopiec, który pragnął konno jeździć.

(Przełożył z litewskiego W. Zaleski).

Gościńiec niczem wstęga szeroka. Po tym gościńcu wściekle dudni. Michaś w samą porę usłyszał tętent i wysadził głowę z pod siermięgi. Wstrzymując dech w piersiach, nasłuchuje, jak zbliża się tętent z poza lasku. Nagle w źrenicach Michasiowych, jak w wodzie, odbija się gromada wiejskich jeźdźców. Zbliżają się, krzyczą.

Spowici w obłok pyłu, kłumpami biją po bokach końskich, wymachują rękami. Hoop-op!

Po chwili tętent cichnie znów za laskiem. Tylko tuman pyłu osiada powoli i przestania płonące czerwienią słońce.

Jeźdźcy już na łąkach.

Michaś pasie krowy. Gdyby mógł, wszystkie krowyby co do jednej wyrzwał. Szczególniej ta stara, przodowniczka całego stada, zadziera ogon do góry i pędzi w szkodę.

Nie sztuka paść konie. Można spętać, puścić na paszę i przez całą noc gwizdać sobie gdzieś, ciepło się odziewszy. Chłopcy puszcza konie i włączają się gdzieś w siódmej wsi za dziewczynami. Aż w siódmej!

Szczęśliwi oni — myśli Michaś — gdy wypędzą konie na paszę. Mogą, kiedy chcą, złapać konia, wsiąść na niego, poklepać po szyi i t. d.

Dlatego smutne są oczy Michasia. Włosy kędzierzawe i czarne, jak skrzydło wrony. Niektórzy go cyganiukiem nazywają. Może dlatego, że twarzyczka, jak miedź, a może dlatego, że wiecznieby pragnął konno jeździć.

Przecie nieraz mu sprali skórę za konie.

— Nie leż do koni! Jak gnaty połamię, to zobaczysz — tak mówi jego gospodarz, a gospodarz z pastuszkim nigdy nie żartuje.

Niedawno Michaś dostał w kark za to, że na krowie jeździł.

— Zwarjował chłopak. Patrzą, siedzi na sroka tej i różgą pogania.

— O Jezu, a to zbereźnik! Ja mu pokażę! Jeszcze mi krowę skaleczył — piszczy ciekim głosem gospodynii.

nej jego misji tworzenia gabinetu. Zresztą i tu nastąpiło z biegiem czasu głębokie rozczarowanie.

Wiele nadziei pokładano istotnie swego czasu w ministrach — wilnianach, zasiadających w gabinetach po-majowych. Sfery ziemiańskie liczyły, że min. Meysztoicz, poza likwidacją zniechęconej „Hramady”, przeprowadzi również likwidację reformy rolnej, koła demokratyczne oczekiwały, że min. Staniewicz przeciwnie tę reformę urzeczywistni w całej pełni i zatamuje rozwój osadnictwa, tak szkodliwego dla zgodnego współżycia narodowościowego w kraju, powszechnie spodziewano się wreszcie, że udział min. Prystora w rządzie przyniesie zubożałemu miastu szereg świadczeń i dobrodziejstw. Wszystkie te oczekiwania zawiodły. To też, gdy przyszła wiadomość o nominacji na ministra p. Jana Piłsudskiego, nikomu bodaj nie przyszło na myśl łączyć z nią jakichkolwiek widoków na ulgi podatkowe dla zbankrutowanych płatników wileńskich.

Czy jest to bezsilność osób? Nie, jest to tylko zależność ludzkiej woli, nawet woli wszechwładnego dyktatora od warunków ekonomicznych i sił społecznych, które na politykę polską wywierają dziś wpływ przemożny.

Czynnikiem decydującym bowiem jest wielki kapitał i jego interesy.

I czyż nie jest istotnie obojętnym, kto będzie pełnił straż honorową przy Lewjatanie?

Cui bono?

W miejscowem społeczeństwie litewkiem wrasta coraz silniej rozgorzenie z powodu krzywdzących je posunięć Kurji Metropolitalnej.

Chodzi przedewszystkiem o niezrozumiałe i z punktu widzenia interesów kościelnych zgoła nieuzasadnione przesunięcia personalne wśród księży archidiecezji wileńskiej.

Oto fakty: przed paru miesiącami przeniesiono do parafij białoruskich księży-Litwinów: Michajłę, Gieczysa, Żeidisa, Budziłę i innych. Do parafij litewskich posłano natomiast księży, nieznających absolutnie języka litewskiego lub, co gorsza, zwalczających litewskość, a więc: ks. Malinowskiego, Szyłejkę, Sztejna, Bazewicza i innych.

Ostatnio znów, z niewyjaśnionych bliżej przyczyn, przeniesiono z parafji litewskiej w Łazdunach księdza-Litwina Karwelisa do parafji białoruskiej w Dworcu (pow. lidzki); księdza Budreckiego z par. Pelesa do par. Wasiuny; księdza Miszkinisa z par. Wasiuny do par. Łyngmiany; księdza Tutinasa z par. Ejszyszki do par. Pelesa; księdza Kiwińskiego (nieumiejącego po litewsku) z Grodna do par. Ejszyszki. Prośby delegacji parafjan z Pelesy o pozostawienie ks. Budreckiego arcybiskup nie uwzględnił.

Krzywdy katolików Litwinów w zakresie polityki kościelnej w archidiecezji wileńskiej — według „Viln. Rytojus” — dają się podzielić na trzy dziedziny: 1) przenoszenie księży Litwinów do parafij wyłącznie białoruskich, a księży nie-Litwinów i nieumiejących po litewsku — do parafij litewskich, 2) ograniczanie nabożeństw litewskich, zarówno w parafjach mieszanych, jak też wyłącznie w litewskich, 3) nauka religii w szkołach o kompletach litewskich. Jeżeli chodzi o tę ostatnią dziedzinę, poruszyć przedewszystkiem należy szczegóły następujące: we wsiach wyłącznie litewskich, a więc w Dubinkach, Leluszach, Smilginiach, Skłodoniach, Kargaudach, Kłajszach, Juciunach, Plikach, Kurkiach, Pilakalniach, Rackunach (gm. raduńska); Rudni, Noszkunach, Dolinie (gm. orańska); Dzidziasalach, Gontownikach, Witenach, Bobenach (gm. twerecka); Galczunach, Petrykach (gm. gierwiacka), czynne są szkoły polskie, w których się wykłada religję po polsku. W niektórych szkołach, jak np. w Koniawie (gm. orańska) lub Twereczu, wykłada się religję napół po polsku, napół po litewsku, mimo, że komplety szkolne składają się wyłącznie z dzieci litewskich. Wykaz powyższy jest niekompletny. W całym

A Michaś już oplakał swój ból i znów na konie patrzy. Żeby tak pojeździć na dobrym źrebku, — marzy — to potem i umrzeć nawet nie żal!

Na drzwiach stodoły naciętych jest dużo kresek. Tam Michaś codziennie mierzy swój wzrost. — Kiedy dwadzieścia pięć takich wyrznie, to już będę duży!

Michaś nosi na szyi pętelkę. Jak koniuchy. Z tą pętelką na szyi śpi nawet.

Jeźdźcy co wieczór dudnią po gościńcu.

Na dworze wiosna. Gospodarz poi konie w sadzawce i gwiżdże, by konie piły. Michaś z bijącym sercem kręci się przy koniach.

— Chodź! — jedną ręką gospodarz objął wpół pastuszkę i wsadza na konia. Ale sam prowadzi konie za uzdę. Potem kręci papierosa, a Michaś niech sam jedzie.

— Ale patrz, żeby się nie spłoszyły. Trzymaj się za grzywę! Ot! tak!

W Michasiu radość wzbiera. Teraz on jedzie sam. Może i na bok skrócić i kłusem popędzić. Dlatego i krzyczy na konie, jak prawdziwy mężczyzna:

— A nie przestaniesz ty, bestjolo!

Konie żują żelazne wędzidła.

Takie to i konie! Jeden strychuje, drugi ma boki wytarte.

Michaś widzi, że gospodarz przez rów przeszkoczył. Wziął w rękę garść siana i patrzy, czy już suche.

Korzysta z tej chwili Michaś i okłada konie pięściami: Wio, wio!

A te wloką się noga za nogą. Michaś wyciąga nożyk i wali trzonkiem po żebrach.

Rozruszały się koniska. Teraz Michaś krzyczy i leci przez dyrwan. Słychać głos gospodarza. Co mu do tego, że gospodarz krzyczy.

Tętent koni odbija się echem o ścianę lasu, i psy szczekać poczynają.

— Ten chłopak wszystko jedno swoją śmiercią nie umrze — mówi gospodini do nadjeżdżającego. — A gdzie gospodarz?

— Nie wiem. Tpr! Stój!

Kieruje końmi, jak dorosły. Konie mokre, zgrzane.

— Ot, łajdak! Dałem głupi mu konia do ręki, a ten zaraz galopem, — mówi gospodarz, — wcho-

szeregu miejscowości bądź wcale się nie wykłada religii, bądź też wykłada się ją w niezrozumiałym dla dzieci litewskich języku.

Powyższa garść faktów, świadczy dobitnie o specyficznej polityce wileńskiej Kurji Metropolitalnej w stosunku do ludności litewskiej. Można zrozumieć metody polonizatorskie władz administracyjnych. Ujmowanie interesów państwa z punktu widzenia nacjonalistycznego jest rzeczą powszednią. Ale Kościół Katolicki? Co przyjąć może Kościołowi z tego, że Litwini, zamiast chwalić Boga w języku ojczystym, zmuszeni będą do modlitwy w języku dla siebie obcym i zgóry narzuconym? Zwłaszcza, co przyjdzie Kościołowi z modlitwy ludzi rozgorączkanych, ludzi przejętych do głębi swą krzywdą, bo przywiązujących tak wielką wagę do religijnych obrządków i własnego języka? Czyżby tak rozumiała wileńska Kurja Metropolitalna szczytną misję chrystjanizmu? Czyżby, z drugiej strony, uważała się za instytucję polityczną, powołaną do spełniania celów wyłącznie narodowych, nie mających nic wspólnego z ideą katolicką?

Idźmy dalej. W Świecianach odbył się niedawno Kongres Eucharystyczny. Zaszczycił go swą obecnością biskup Michalkiewicz, występujący tu w imieniu arcybiskupa. Otóż biskup zwrócił się do obecnych na kongresie księży Litwinów z kategorycznym żądaniem zaprzestania prenumeraty, lektury i kolportażu wychodzącego w Wilnie klerikalnego pisma litewskiego „Vilniaus Rytėjus”. Zakaz motywował biskup... podrywaniem autorytetu władz kościelnych przez wzmiankowaną gazetę. Nie koniec na tem. Biskup Michalkiewicz zalecił księżom Litwinom lekturę pisma „Vilniaus Žinios”, które wychodziły w Wilnie... przed wojną i dawno już wychodzić przestały. Zakrawa to na szykanę.

Czy można się w takich warunkach dziwić rozgorczeniu miejscowego społeczeństwa litewskiego? Czy można pominąć milczeniem pełne żalu i zwątpienia w sprawiedliwość pasterską arcybiskupa artykuły prasy litewskiej w Wilnie? Każdy bezstronny i nie uprzedzony obserwator wyczuje, po zapoznaniu się z wywodami „Vil. Rytėjus” („Nasze krzywdy”,

„Kto winien?”, „Przyszłość dzieci litewskich” i t. d.), że coś tu jest w nieporządku. Zwłaszcza, gdy obok piętrzą się suche, a wymowne fakty.

„Trzeba się bronić — pisze „Viln. Rytėjus” w Nr. 42 — gdy wszystkie środki zawiodą, pozostanie zwrócić się z prośbą o podzielenie archidiecezji na dwie diecezje: polską i litewską”.

Łatwo to powiedzieć, ale trudniej wykonać, gdy tyle parafij jest mieszanych i gdy żywiol białoruski również dopomina się o swe prawa. *Vigilans.*

M. Cziurlionis, jako malarz.

(W 20-tą rocznicę zgonu).

(D. ciąg).

W krótkim przeciągu czasu, bo w ciągu 6 lat Cziurlionis stworzył 300 z górą dzieł, większych i mniejszych; część tych prac zniszczył, część porzucił dla znajomych; nie będąc zaś należycie rozumianym przez szeroki ogół — sprzedawał b. mało.

Wkrótce po śmierci były zorganizowane wystawy pośmiertne w Petersburgu i Wilnie, później zaś — w Moskwie. Ukazały się też wówczas dwie monografie o nim w języku rosyjskim (zeszyt czasopisma „Apollon” i studjum Lemana), nie licząc wielu poświęconych jego twórczości artykułów w prasie polskiej i litewskiej. Obecnie „Galerja imienia M. K. Cziurlionisa” w Kownie posiada większość jego prac — przeszło 200 okazów.

Jest niemożliwością wyrazić słowami tego, co stanowi treść obrazów Cziurlionisa. W krótkich słowach chcę tylko uwidocznić rozwój zasadniczej myśli, podkreślić dominujący motyw czyli raczej motywy, które występują w całej twórczości Cziurlionisa.

Są dwa motywy, jakby dwa stany jego duszy, pełne najsubtelniejszych nastrojów, z których powstają dzieła Cziurlionisa, skąd rodzą się jego „bajki”, „sonaty”, fantazje — dwa motywy, jakie spotykamy u największych poetów i myślicieli: jeden — to motyw tęsknoty, czasami jakgdyby beznadziejnej i ka-

dząc na podwórkō. I jak tu nie dać w skórę. Zgrzał napojone konie! Złaz na ziemię! Prędejl!

A jednak Michaś wyprosił, że gospodarz pozwolił mu pojechać z końmi na paszę. Gospodarz ma pola niedużo, trawy zupełnie mało, a przecie konieczny tak wcześniej skarmiać nie można.

— Patrz, żeby się nic nie stało! Do starszych nie leż! — wsadzając go na konia pouczał gospodarz.

Michaś jedzie powoli, póki go jeszcze może widzieć gospodarz. Za zakrętem puszcza w ruch i ręce i nogi.

Galopem.

Kurz.

Przelatują przez kilka wsi z babami, byłem i t. p.

Łąka pełna mgły wieczornej, pełna koni i młodych parobków. Schodzą, się zęby szczerzą.

Michaś zeskakuje z koni i dziwuje się. Potem okręca się na jednej nodze i pędzi spętane konie do stada.

Rozpalone ognisko. Przy niem, ani jednego

pastuszka. Sami parobcy. Popychają się, szturchają, lżą wzajemnie. Z każdego języka zlatuje plugawe przekleństwo. Wspólna swoboda, wspólny tytoń, dym i bajki. Gdyby była dziewczka, to i ta wspólną by była.

Michaś trzyma się zdaleka. Dwaj parobcy spozstrzegają go i ciągną ku sobie. Obsiadają go dokoła.

— Jak ci na imię? — pyta jeden. Drugi bierze czapkę i wrzuca do ognia. — Otwórz gębę! — mówi trzeci i wkłada mu węgielek do ust.

Wreszcie musi zażyć tabaki i głośno kichać. A półkopy chłopców śmieje się. Śmieje się na całą łąkę.

Pierwszego wieczora posyłają go jeszcze kraść kartofle, płot na opał i paść wszystkie konie.

Od tabaki, dymu i śmiechu chłopców spływają mu po policzkach łzy.

Ale następnego wieczora Michaś leży przy ognisku.

Jeżeli teraz popasie wszystkie konie, to za to dadzą mu pieczony kartofel iskrcząc bardzo grubego papierosa.

Michaś leży sobie, kręci papierosa, wyciąga rozżarzony węgielek, zapala i puszcza kłęby dymu.

tastrofalnej, motyw śmierci, rezygnacji i poddania się złemu przeznaczeniu, które przygniata życie człowieka... Drugi motyw szczęścia i radości, które są przecież, które istnieją na świecie, tylko trzeba je osiąść, osiągnąć...

Te dwa motywy są ściśle ze sobą związane często występują w jednym obrazie jednocześnie, i nabierają w twórczości Cziurlionisa coraz to głębszego, subtelniejszego i wymowniejszego wyrazu. Drugi motyw — radości opanowuje artystę z czasem coraz głębiej i dochodzi wreszcie — na parę lat przed śmiercią — do takiej ekstazy i pogody ducha, którą osiągnęło nie wielu tylko malarzy — trecento włoskiego.

Już pierwsze obrazy Cziurlionisa posiadają w sobie dziwny nastrój melancholji i smutku, i, powiedziabym, pewnego niepokoju, płynącego z wyzucia istnienia jakiejś siły, jakiejś mocy, panującej nad nami, przygniatającej nas, — siły fatalnej, którą starożytni Grecy wyobrażali w postaciach bezlitosnej Mojry, Rzymianie zaś nazywali Parkami — owymi ponuremi boginiami przeznaczenia... Odczuwamy obecność jakiejś mocy, którą jeden z najulubieńszych pisarzy Cziurlionisa Ernst Hoffmann nazywa „das böse Princip“, „die dunkle Macht“. To ona, owa ciemna moc jakiegoś groźnego Władcy, ciemnego Króla-Rex'a przynosi śmierć bliskiej nam i drogiej istoty (w cyklu „Pogrzeb“), ona zsyła potop, nie ten biblijny, lecz katastrofalną zagładę zaczarowanego miasta, zagładę naszych ideałów, któreśmy oglądali w niebieskich przestworzach i które nieomal mogliśmy już osiągnąć...

I czy nie napróżno do nieba wzniosły się ręce w modlitwie, błagające o litość?... Oto, jako chmura, zjawia się smok, następuje powódź, i tonie nasza łódź, nasze nadzieje (z cyklu „Potop“).

Wśród okropnej burzy to ona — owa ciemna moc piorunem rozbija mogiły i łamie krzyże (cykl „Burza“).

Ona uderza na alarm i kołysze dzwony, straszając nas ciemnym obliczem i rozwartymi oczyma (cykl „Strach“).

To owa ciemna moc zsyła ból i tęsknotę,

i powstając przed nami w ciemnych postaciach zjaw, odbiera nam pogodę i blask lazurów wód morza („Widma—Myśl“).

W ciche, skwarne południe letniego dnia widzimy i odczuwamy, jak ponura i władcza postać olbrzymiego Rex'a wysuwa się zpoza góry, powstając w sylwetach drzew, zwisając nad nami w chmurze, z tajemniczo wzniesionym palcem („Południe“). Czy nie jej ogromna i ponura postać zasłania nam jasność i blask słońca, a więc — wiedzy, obdarzając nas tylko promykami, tylko przebłyskami myśli i radości („Myśl“)?...

I nie możemy nigdy ująć przed tą siłą, zawsze ona panuje nad nami, i widzimy jak w postaci ciemnego ptaka zawisa nad człowiekiem, który, jak dziecko małe, w blasku poranka wiosennego, bawi się kwiatem — dmuchawcem („Bajka“). Beznadziejnie w modlitwie wznoszą się ręce w sine ciemne przestworza („Tęsknota“). Smutny i ponury jest hymn do gasnącego słońca w długiej procesji chorągwi („Tęsknota“). W słoneczny biały dzień wiosenny, gdy, zdawałoby się, wszystko się raduje, powstając dynamicznie do nowego życia, — silniej niż kiedykolwiek odczuwamy bliską obecność śmierci i bezlitosny bieg czasu... i czy nie dlatego na trwogę dzwoni sygnaturka wśród młodych gałązek wiosennych drzew („Wiosna“)?...

Również — w przewiewny, błękitny dzień letni dziwny niepokój i smutek sprawiają nam płachty chorągwi barwnych, jakgdyby raptownie wynoszonych z bram kościelnych („Chorągwie“). I chwilami się wydaje, iż Demon panuje nad światem i wszystko, co jest jasne przed nim się korzy („Demon“, „Bajka“).

A jednak wierzymy w szczęście, wierzymy i wiemy, iż istnieje i jest ono jasne i pogodne, jak ten skarb i ta światłość, którą trzyma w swych dłoniach ostrożnie, z bezgraniczną miłością postać w pióropuszcach czy koronie („Przyjaźń“), że istnieje ono — to szczęście — w miłości i przywiązaniu do swych miejsc rodzinnych i swego kraju, jak w tej bajce, gdzie starcy-królowie trzymają w swych dło-

— To ty chyba jeszcze nie umiesz dym przez oczy puszczać? Nie umiesz, co?

— Nie — odpowiada Michaś.

— To patrz dobrze na mnie — mówi ten i przytyka mu do nosa palącego się papierosa. Przy pieka Michasiowi nos.

Ale Michaś prędko zapoznał się z temi wszystkimi umiejętnościami. W ciągu czterech nocy zmęz niał o parę lat.

Już nikt się z niego nie śmieje. Wygrywają na organkach. Jeden z parobków, któremu pod nosem najwięcej włosów sterczy, powiada:

— Dziewucha, jak rzępa. Kiedym ją raz za pierś złapał, to ciarki przeszły po skórze.

— Ale trudno do niej się dostać. Powiadają że Demedys do niej łązi.

Trzeci usiadł i mówi:

— Ona niczego dziewucha, ale ja znam jeszcze lepszą. I nie jedną, a trzy.

— Kałwajtisówny?

— Właśnie. I wszystkie na sianie śpią. Chodźmy.

Od ogniska podniosło się szczęście, może nawet więcej. Ale ten, u którego najwięcej włosów pod nosem, rzucił jednemu uzdeczki i mruknął:

— Weź kozuch i popilnuj lepiej koni.

Trzeba słuchać starszych. Oni teraz obejmą wszystkie dziewczyny. Mają pierwszeństwo.

Nie inaczej myśli i Michaś. A sen skrada się mu do oczu. Otrząsa się. Musi przez całą noc paść konie.

Ognisko ledwie się tli. Po twarzach biegają niewyraźne cienie płomieni. Zbliża się północ.

Księżyc w pełni stara się spowić w chmury i nie może.

Michaś drzemie, zasypia i znowu otrząsa się ze snu. Popatrzy, obejrzy się dokoła. Stado koni. Konie parskać. Konie. Ze stada wybiega młody źrebiec. Michaś wyciąga ku niemu ręce. O takim właśnie marzył.

Ale co to? Budzi się Michaś i aż do łez kicha.

Znowu któryś z chłopców figla mu wyplatał. Ale teraz Michaś mocno postanawia nie zasnąć więcej.

(Dok. nast.).

niach domki i zabudowania — może wioski rodzimej Cziurlionisa („Bajka“)...

Dlatego tak trwoży nas, i sprawia nam ból, gdy się nam zdaje, iż ginie ta kraina światła i zorzy, taka daleka jeszcze, niedościgną, bo oddzielona od nas wysokim murem... Dlatego też widzimy, jak powstaje walka — walka pomiędzy życiem, a śmiercią, pomiędzy myślą, a chaosem, jak czytamy u Tetmajera *) — „odwieczna, tragiczna, najtragiczniejsza walka między człowiekiem i władzą fatalną, między tem, co jest bezsilne i tem, co wszechmocne, co stworzyło świat, stworzyło człowieka, a wraz stworzyło śmierć, ból i niewiadomość. Odwieczny majestat bólu — odwieczne cierpię, więc jestem duchem“...

I dlatego może tak nam jest drogi i bliski ów strzelec, co silnie i odważnie naciągając swój łuk, chce trafić w ponurego ptaka („Strzelec“ z cyklu „Zodjak“), i czaruje nas rytmiczność linii i ruchu i ten centaur na szczycie góry, co miota strzałę w siedzącego na tronie Rex'a (Dyptyk: „Preludjum i Fuga“).

(D. N.)

Witold Kajruksztis.

Pro domo sua.

Wobec kampanji, zakrawającej na szantaż polityczny, wszczętej na tle porachunków osobistych przeciwko mnie przez redakcję „Słowa“, a mającej za przedmiot moje współpracownictwo w „Kurjerze Wileńskim“, poczuwam się do obowiązku złożenia poniższego wyjaśnienia, przeznaczonego dla tych ludzi dobrej woli, którzy nie znając dokładnie całej sprawy mogą nabrać fałszywego wyobrażenia o mojej pozornej dwuznacznej roli.

Przed dwoma przeszło laty zwrócił się do mnie p. Kazimierz Okulicz, redaktor naczelny „Kurjera Wileńskiego“, piastujący wówczas również mandat poselski do Sejmu, z propozycją objęcia kierownictwa pismem, gdyż wskutek ustawicznej jego nieobecności w Wilnie w związku ze sprawowaniem przezeń obowiązków poselskich do redakcji wkrađło się pewne rozprzężenie, które groziło przejściem w stan anarchji.

Po długich i wyczerpujących rozmowach doszliśmy do przekonania, że w poglądach zasadniczych pomiędzy mną a p. K. Okuliczem istnieją różnice, które uniemożliwiają mi przyjęcie stanowiska zastępcy redaktora naczelnego „Kurjera Wil.“ w całej rozciągłości, z drugiej strony jednakże różnice te nie tak głębokie, by wykluczały możliwość mojej współpracy w „Kurjerze Wileńskim“ w zakresie *technicznym*.

Stała się tedy między nami umowa, na mocy której podjąłem się pracy wewnątrz-organizacyjnej w „Kurjerze Wileńskim“, zastrzegając się przeciwko jakiemukolwiek reprezentowaniu dziennika nazewnątrz i nie biorąc żadnej odpowiedzialności za jego kierunek polityczny. Natomiast pozostawiłem sobie wolną rękę w wypowiedaniu moich własnych poglądów zarówno na zagadnienia bieżące, jak kwestje

zasadnicze na łamach wydawanego przezemnie „Przeglądu Wileńskiego“.

Siłą rzeczy mimo skrupulatnego unikania wszystkiego coby mogło, mię angażować w robotę polityczną „Kurjera Wil.“, jak również coby mogło kwestjonować moją lojalność w stosunku do wydawnictwa, za które nie ponosiłem ani moralnej ani formalnej odpowiedzialności, mój współdział w pracy redakcyjnej nie mógł nie wywrzeć pewnego wpływu na pismo, zwłaszcza w zakresie najbardziej mię obchodzących spraw krajowych i narodowościowych. W tej dziedzinie to i owo udało mi się osiągnąć, przedewszystkiem złagodzić cechujący dawniej „Kurjer Wil.“ ton agresywny, który wytwarzał szkodliwą atmosferę ustawicznego podrażnienia i podniecenia.

Współpracę więc swoją w „Kurjerze Wileńskim“ nie uważałem w żadnym razie za sprzeczną z moimi przekonaniami i z zadaniami, jakie sobie wytknąłem w charakterze redaktora i wydawcy „Przeglądu Wileńskiego“.

Dawałem pismu swoje fachowe doświadczenie dziennikarskie, a wzamian uzyskiwałem możliwość oddziaływania na szerszą opinię publiczną, wprawdzie w dość słabym stopniu i pod pewnemi tylko względami, ale w kierunku pożądanym, bo idącym po linii ideologii krajowej.

Moje współpracownictwo w „Kurjerze Wileńskim“ trwało przeszło dwa lata i, rzecz dziwna, nie wywoływało znikąd ataków, nim nie wybuchł zatarg w łonie Syndykatu Dziennikarzy Wileńskich. Wówczas ze strony redakcji „Słowa“ posypały się pod moim adresem zarzuty publiczne dwulicowości, przewrotności, siedzenia na dwóch stołkach i t. p.

Nie chcąc narażać opinji ani „Kurjera Wileńskiego“, ani „Przeglądu Wileńskiego“, przeciwko którym ataki te, wymierzone w moją osobę, pośrednio się zwracały, zgłosiłem swe wystąpienie z redakcji „Kurjera Wileńskiego“, co jednakże bynajmniej nie oznacza jakobyem uznawał słuszność stawianych mi zarzutów i uważał moją pracę zawodową w „Kurjerze Wileńskim“ za niedającą się pogodzić z pracą ideową na stanowisku redaktora „Przeglądu Wileńskiego“.

Ludwik Abramowicz.

O program dla radjostacji wileńskiej.

Ostatniemi laty daje się na całym świecie zauważyć niezwykle rozwój radjofonji. Jesteśmy świadkami ciekawego wyścigu państw i miast poszczególnych w budowaniu olbrzymich stacyj nadawczych, by zasięgiem radjowym zagarniać jaknajszersze terytoria i w ten sposób opanowywać umysły ludzkie nawet tam, gdzie słowo drukowane dzięki kordonowi granicznemu sięgnąć nie zawsze może. W chwili obecnej radio śmiało zaczyna konkurować z mocną oddawna prasą i pod niejednym względem ją przewyższa, np. szybkością informowania mieszkańców miejscowości pozbawionych wszelkich połączeń ko-

*) K. Tetmajer: „Wrażenia“.

munikacyjnych oraz nadawaniem słuchowisk koncertowych.

Polskie Radio, stawiając w Raszynie olbrzymią stację mocy 150 KW, narazie w wyścigu międzynarodowym pobiło rekord. Współzawodnictwo to Wilno wyszło na dobre, gdyż dawniejsza radiostacja warszawska o zasięgu na 100 km., na kryształkowy aparat odbiorczy, została przeniesiona do Wilna. Obecnie dzięki znacznie większej mocy rozgłośni wileńskiej, większa część województwa wileńskiego oraz północna część Nowogródziny uzyskała możliwość odbierania słuchowisk z Wilna nie tylko na kosztowne aparaty lampowe, ale i na odbiorniki detektorowe (kryształkowe), nabycie i obsługa których nie nastęrcza wielkich trudności. Poza to nowa instalacja wileńskiej rozgłośni umożliwiła dobry odbiór w naszym kraju na głośnik przy odbiorniku lampowym, mogący mieć szerokie użycie dla słuchowisk zbiorowych.

Nowa sytuacja w wileńskiej radjofonji wymaga choćby pobieżnego omówienia programów rozgłośni wileńskiej, a mianowicie jakimi one były, są i być powinny.

Gdy tylko została uruchomiona dawniejsza stacja nadawcza w Wilnie, kierownictwo jej słusznie uważało za konieczne uwzględnić wielojęzyczny charakter kraju, wprowadzając obok audycji polskich—białoruskie i litewskie. Były to tak zwane w programie radjochwilki białoruskie i litewskie. Pierwsze polegały na zapoznawaniu słuchaczy z dzisiejszą literaturą białoruską i życiem Białorusinów w ogóle. Drugie ze względu na bliskość granicy litewskiej miały na celu, jak się zdaje, polityczne „uświadamianie” Litwinów zakordonowanych i dlatego, oczywiście, w najmniejszej mierze Litwinów zadawania nie mogły. Poza to były od czasu do czasu nadawane słuchowiska koncertowe w językach krajowych. Prawda, niepolna część programów radiowych na ogół pozostawiała dużo do życzenia, świadczyła ona jednak o pewnym zrozumieniu ze strony kierownictwa Polskiego Radja potrzeb narodowości nie-polskich.

Nie wiemy czy jakaś nieokreślona bliżej „racja stanu”, czy też nalegania polskiej szowinistycznej kołtunerji ułatwiły usunięcie chwilek białoruskich i litewskich z programów radiostacji wileńskiej. Dość tego, że na miejsce do niedawna modnego „regjonalizmu”, przyszedł centralizm warszawski i wszechwładnie opanował radio w Wilnie. By nie być gołosłownymi pozwolimy sobie dla przykładu przytoczyć kilka liczb z tygodniowego programu Polskiego Radja od dnia 31-V do dnia 6-VI b. r. Okaże się, iż dzięki transmisjom z Warszawy przede wszystkim, Wilno miało możliwość, poza produkcjami z płyt gramofonowych, nadać zaledwie 18 słuchowisk. Jeśli się weźmie pod uwagę, że każde słuchowisko trwa około 15 minut (za wyjątkiem aż za długich nabożeństw), wypadnie tedy na słuchowiska z Wilna nie więcej 4-ch i pół godzin tygodniowo.

Żeby sobie uprzytomnić jak dalece radio w Wilnie uzależniło się od Warszawy i jak znakomicie podobnego losu zdołała uniknąć radiostacja w Poznaniu, rzućmy okiem na program tej ostatniej z tegoż wyżej wspomnianego tygodnia. Zamiast 18 wileńskich słuchowisk widzimy w Poznaniu aż 94, wyłączając produkcje gramofonowe, co w czasie stanowi około 24 godzin tygodniowo. Czyżby Poznań swoją siłą kultury umysłowej przewyższał Wilno? Jak dotychczas zdaje się, że jest wprost przeciwnie.

W najgorszym razie posiadamy dla potrzeb radja siły naukowe, literackie i artystyczne nie słabsze od poznańskich. Można więc te różnice programowe tłumaczyć tylko tem, że poznaniacy chcą i umieją bronić swoich interesów, gdy tymczasem Wilno wykazuje pod tym względem bierność całkowitą.

Możnaby nad wileńskimi programami radiowymi przejść do porządku dziennego i nie przywiązywać wcale wagi skąd słyszymy np. odczyt, gdyby nie treść warszawskich audycji.

Nierozsądnem byłoby żądanie, by wileńskie radio dawało tylko swoje wyłącznie słuchowiska, pozbawiając możliwości słuchania niewątpliwie lepszych sił artystycznych z Warszawy, lecz bardziej nierozsądnem jest narzucać Wileńszczyźnie audycje, nie mające dla nas żadnego znaczenia. Cóż bo może u nas obchodzić kogo zapowiadanie przez radio, co grają jutro teatry warszawskie? Albo, jakie mają znaczenie odczyty rolnicze wcale nie przystosowane do naszych warunków klimatycznych i naszego prymitywnego stanu gospodarki rolnej? Cóż wreszcie może obchodzić białoruskiego lub litewskiego wieśniaka, kto dzisiaj w Warszawie pobił rekord w biegu, w rzuceniu oszczepem lub dyskiem? A te ostatnie komunikaty sportowe do znudzenia daje się z Warszawy codziennie, poczem następuje transmitowanie z warszawskich restauracyj foxtrottów, bluesów i innych murzyńskich dziwactw. Ten ostatni rodzaj audycji potępili surowo nawet bolszewicy, jako objaw zgnilizny Zachodu i trudno im w tem odmówić racji.

Obecne warszawskie transmisje ziem białorusko-litewskich zadowolnić nie mogą. Czas wielki zastanowić nad tem, jak ułożyć program, może nie konieczny przyjemny dla niektórych histerycznych pańienek miejskich, lecz zato pożyteczny dla szerokich mas ludności, dla wsi przede wszystkim, ponieważ wieś oddalona od ognisk kulturalnych najsilniej reaguje na dobrodziejstwa radja.

Żeby dostosować programy radiowe w Wilnie do potrzeb szerokiego ogółu należy przede wszystkim zerwać ze stanowiskiem, że radio musi być dochodowym przedsiębiorstwem w rodzaju zmonopolizowanej produkcji wódczanej lub tytoniowej. Do tego porównania doprowadza ów centralizm radiowy stacji warszawskiej, który chce oszczędzać na wydatkach dla artystów i lektorów stacji prowincjonalnych i jednocześnie czerpać jaknajwiększy dochód z tych stacji dzięki opłatom abonentów. Dochodowość wileńskiej rozgłośni powiększy się i będzie sama sobie wystarczać, gdy tylko ogół ludności wiejskiej jeszcze bardziej zainteresuje się radjem, przez wprowadzenie niektórych audycji w języku ojczystym większości słuchaczy.

Znaczyłyby to, iż odczyty rolnicze z lepszym skutkiem mogłyby być wygłaszane w języku białoruskim, jako dostępnym niemal wszystkim rolnikom w kraju. Byłaby to prawdziwa popularyzacja wiedzy rolniczej na dobro kraju bez jakichkolwiek tendencji nacjonalistycznych. Jest bowiem rzeczą znaną, że ludność białoruska, szczególnie w prawosławna nie zawsze dobrze rozumie język polski, zwłaszcza nieznaną jest jej całkiem terminologia polska w rolnictwie. Słusznie przeto p. M. Obieziński na łamach „Słowa” (Nr. 109) z dnia 13-V r. b. twierdzi, że transmitowane programy warszawskie w dziedzinie rolnictwa „wymaganiom naszym nie odpowiadają już chociażby ze względu na uszy słuchaczy nie nawykłe do odbierania wrażeń dźwiękowych mowy

polskiej w tej postaci, w jakiej one stamtąd dochodzą”.

Pozatem te transmisje z restauracji warszawskich i inne audycje nie przemawiające u nas do duszy, muszą być choć częściowo zastąpione działem koncertowym i literackim o charakterze krajowym; to znaczy obok produkcji polskich sił miejscowych, radio wileńskie powinno stać otworem dla Białorusinów, Litwinów i Żydów.

Ta różnorodność wileńskiej radjostacji niewątpliwie nie wszystkim przypadłaby do gustu. Znaleźliby się szowiniści, którzy bojkotowaliby początkowo nienawistne im słowo litewskie lub białoruskie, lecz z biegiem czasu, gdy może niechętnie poznaliby to, o czym dziś tak mało mają pojęcia, gdy przysłuchaliby się tej pieśni ludowej, brzmiącej na tych ziemiach od tylu wieków — może łatwiej zrozumieliby, iż ani Litwini ani Białorusini nie znajdują się tu w charakterze gości i w swoich sprawach mają coś do powiedzenia. I wbrew przypuszczałnym mniemaniom nacjonalistów polskich, radio wileńskie nie tylko nie zaogniłoby walk narodowościowych, lecz przeciwnie: wzajemne poznawanie się torowałoby drogę prawdziwej tolerancji narodowościowej ku zadowoleniu wszystkich.

Al. S.

WOLNA TRYBUNA.

Na marginesie konferencji unijnej w Pińsku.

(Głos z Kowna).

Od znajomych otrzymałem „Pamiętnik 1-ej konferencji kapłańskiej w sprawie unji kościelnej w Pińsku”. Przeczytałem go uważnie od *a* do *z* z prawdziwą przyjemnością. Ten „Pamiętnik” świadczy, iż w Pińsku kwestja unijna była rozważana głęboko a arcy trafnie. Nie dziwię się, że zaczęto od kwestji obrządkowej: ona bowiem jest *najłatwiejszą* do rozstrzygnięcia. Lecz ani śmiałym nazwać jej najważniejszą. O wiele ważniejszą jest kwestja zależności hierarchicznej i jurysdykcji, a najważniejszą oczywiście kwestja dogmatów spornych.

Powierzchniwnie patrząc na prawosławne ludzie sądzą, iż kwestja zależności hierarchicznej u nas nie przedstawia trudności wielkich: ot uznać nad sobą władzę papieża i — rzecz skończona. Zmusić jednak myślącego prawosławnego, a zwłaszcza Rosjanina (lub zruszczonego Białorusina albo Ukraińca) do tego kroku, jest rzeczą bardzo niełatwą. Kto bowiem jest prawosławnym, ten całkiem należy do wręcz drugiego jakby świata! Prawosławie a katolicyzm, to dwie całkiem przeciwne sobie sfery duchowe. W Kościele katolickim dominuje ustrój monarchiczny, w prawosławiu — republikańsko-demokratyczny; w katolicyzmie duchowieństwo bezżenne, tam — żonate. Przeciwnieństwo uwydatnia się nawet w melodjach śpiewów kościelnych i cerkiewnych: u katolików bowiem przeważają sekundy, tercje, kwarty, — tam kwinty, seksty, septymy. I tak dalej we wszystkim. Prawda, te przeciwieństwa krańcowe nie są konieczne sprzecznościami i, przy dobrej woli, dają się pogodzić. Lecz nie ulega wątpliwości, że na psychikę swych wyznawców muszą mocno oddziaływać w kierunku antyjednościowym.

Drugi powód, który odstręcza naszych prawosławnych od poddania się władzy papieża, tkwi w nieograniczoności tej władzy. „Poddając się papieżowi — powiadają prawosławni — będziemy zmuszeni przyjąć

nie tylko wszystkie dogmaty katolickie, na coby można jeszcze się zgodzić, lecz i wszystkie przez papieża aprobowane *opinie* teologów katolickich, a co jeszcze gorzej — całą katolicką *teologję moralną*, z jej dziwną kazuistyką, z jej niezliczonym mnóstwem na bogobojnym Wschodzie zgoła nieznanym *grzechów śmiertelnych*, jakich tyle natworzyli nadzwyczaj hojni na to moralisci katolicycy”...

Na podobne zarzuty nie każdy kapłan katolicki potrafi u nas dać odpowiedź należyłą, zwłaszcza, że i niektórzy papieże nie byli dosyć ostrożni w traktowaniu spornych kwestyj z Grekami, np. nie umiając wcale po grecku, wydawali sądy o pewnych dogmatycznych formułach greckich etc. To też nic dziwnego, iż dawniej Grecy, a dziś i rosyjscy teologowie, patrzyli i patrzą na łacinników z pewnego rodzaju pogardą, jak na ciasne głowy, niezdolne orjentować się w trudnych kwestjach filozoficznych i teologicznych.

Dlatego porozumieć się z prawosławnymi obecnie jest o wiele trudniej niż za czasów Unji Florenckiej. Tacy prawosławni teologowie, jak Florinskij, Bułgakow, Arsienjew, Karsawin i in. znają dobrze teologję katolicką i lada czem zadowolnić się nie dadzą... Staną oni do turnieju teologicznego uzbrojeni w naukę i filozofję współczesną, czego o wszystkich katolickich teologach nie zawsze można powiedzieć.

Wspomniany turniej, wcześniej lub później, być dzie musiał dojść do skutku. Katolickie podręczniki teologii dogmatycznej i moralnej będą przez prawosławnych teologów poddane surowej krytyce. Chcemy czy nie chcemy, poglądy tych będą musiały być wzięte pod uwagę, gdyż *bez gruntownego przedyskutowania spornych kwestyj*, tak dogmatycznych, jak moralnych, unja *nigdy* nie będzie mogła dojść do skutku. Np. kwestja, czy papież może być nazywany *vice-Bogiem*, będzie musiała być jasno postawiona i otrzymać wyraźną a niedwuznaczną odpowiedź. Prawosławnym taki tytuł papieża wydaje się być jawnym bluźnierstwem, i już dla jednego tego tytułu, będą oni gotowi odrzucić unję z oburzeniem. Tymczasem redaktorowie katolickiego *La Croix* w Paryżu, vicebóstwo papieża uważają niejako za dogmat i chętnie go głoszą w swem piśmie. Zainterpelowany przezemnie w tej sprawie wybitny teolog rzymski, szeroko zresztą znany wśród unjonistów na całym świecie, odpowiedział wymijająco, utrzymując iż ta nazwa daje się poniekąd uzasadnić teologicznie itd.

Tacy gorliwcy, jak redaktorowie *La Croix*, wraz z (bpem Bougaud, mogą w ten sposób całą pracę nad unją obrócić wniwecz. A już o francuskiej *devotion au pape*, niema co i mówić.

Szczerze się cieszę, że duchowieństwo w Litwie, Białorusi i Polsce poczyna poważnie pracować nad kwestją unji. Lecz tego nie dosyć. Trzeba sięgać głębiej, a zwłaszcza trzymać się zasady: *audiatur et altera pars*, tj. posłuchać, co mówią sami prawosławni i co oni myślą o katolicyzmie. Na polu pracy teologicznej należałoby teologom łacińskim zbyt nie wyprzedzać naszych wschodników. Dlatego też ułożenie podręcznika teologii moralnej dla wschodników powinno być powierzzone *nie* jakiemuś byłemu słuchaczowi Lehmkuhla lub Noldina, lecz właśnie teologowi wschodnikowi, wykształconemu na podręcznikach prawosławnych, w jakich specyficznie prawosławnych herezjy niema wszak wcale.

Takie są moje uwagi.

Theologus lithuanus.